Świat powieściowy.

Pismo tygodniowe belletrystyczne.

Wychodzi we Lwowie w każdą niedzielę.
Administracja: ulica Grodzickich l. 4. w drukarni narodowej W. Manieckiego.

Nr. 39.
dnia 28. Sierpnia 1881.

Prenumerata wynosi wraz z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . 2 zł.
półrocznie . . . 4 zł.
rocznie . . . . 8 zł.

ZDRAJCA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA W DWÓCH TOMACH

przez Autora „*Marzycieli*"

TOM II.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ X.

PRZECIWNICY.

Nazajutrz rano pan Wyżyński ledwie wszedł do redakcji, ujrzał Żylewicza. Widać było po jego oczach i twarzy, że w towarzystwie wesołem noc spędził bezsennie, lecz mimo to nie był pijany. Okiem tryumfatora zmierzył swego pryncypała, i usiadłszy, jednym tchem opowiedział wczorajszą awanturę.

Pan Wyżyński już ją znał w najdrobniejszych szczegółach, kilka bowiem osób, które były na zgromadzeniu, opowiadały mu ją przy wieczerzy, na którą wyjątkowo dnia poprzedniego poszedł był do restauracji.

Gdy Żylewicz skończył, pan Wyżyński zwiesił głowę w zadumie bolesnej.

— Słyszałem już, słyszałem! — rzekł po chwili z westchnieniem. — Mój Boże! czyż bym był kiedy przypuścił, że takich rzeczy dożyję!... Straciliśmy wszystko, ale została nam przynajmniej cześć narodowa, byliśmy patrjotami, umieliśmy z godnością stać pod naszym sztandarem!... Dziś niestety mamy już takich, którzy ani się wstydzą, ani boją publicznie wzywać do odstępstwa.

— Powinni się jednak bać! — przerwał Żylewicz — i aby się bali, należy zabić zło w samym zarodku! Gdy ten pierwszy otrzyma karę zasłużoną, nikt po nim nie odważy się być prorokiem odstępstwa. Zresztą ja jestem pewny, że ten człowiek nie z przekonania wygłasza te zasady... Dam gardło, że wziął ruble.

— Tak mu z oczu dobrze patrzy — wtrącił pan Wyżyński.

— Tem niebezpieczniejszy! Pod maską anioła ukrywa się wąż jadowity... To co mówią o śmierci jakiejś tam kobiety, także musi być prawdą... Człowiek, który naród zdradza, jest zdolnym do wszystkiego.

— Jakże się więc w obec niego zachowamy? — pan Wyżyński zapytał.

— Tak, jak nam obowiązek nakazuje! Pomijam, że nam szkodził, że nam prenumeratorów zabierał, że wpływy nasze podkopywał, wszystko to można mu było jeszcze przebaczyć, bo to rzeczy natury prywatnej, ale propagandy w duchu nam nienawistnym, żaden mu Polak nie przebaczy! Niech sobie, pan teraz przypomni, com zawsze mówił... Ta oględność, z jaką się o Moskwie wyrażał, była mi od samego początku podejrzaną, ale pan nie chciałeś wierzyć .. Teraz prawda jak oliwa na wierzch wypłynęła... Zdaje mi się, że po tem, co się wczoraj stało, *Teraźniejszość*, która jest przedstawicielką polityki prawdziwie polskiej, i od tylu lat stoi na straży godności i ducha narodowego, musi przerwać milczenie i z całą siłą w odstępcę uderzyć! Jeźli pan przystaniesz, wezmę to na siebie!

Bezstronność nakazuje nam oddać Żylewiczowi tę sprawiedliwość, że w tej chwili przemawiała zeń nie tyle niechęć osobista, ile patrjotyzm obrażony. Wiemy, że zgodnie z całem swojem otoczeniem, poczytywał on za pierwszy obowiązek dla każdego Polaka, nie tylko czuć, lecz także głośno wyznawać nienawiść do Rosji, pogardę dla Słowiań-

szczyzny, a entuzjazm dla Austrji. Widząc człowieka, który stanąwszy na poprzek opinji całego społeczeństwa, odważył się z czemś wręcz przeciwnem wystąpić, uczuł się obrażonym w tem co najbardziej ukochał, bo w swoim patrjotyzmie, i oddąd też Ryszarda Gozdawę poczytywał za wroga swojej ojczyzny.

— Zatrzymaj się pan tu chwilę — rzekł pan Wyżyński — ja zaraz wrócę. Trzeba wpierw się przekonać, czy w inny sposób smutna ta sprawa nie da się załatwić...

Żylewicz został, a jego pryncypał wziąwszy kapelusz i laskę, udał się do Ryszarda Gozdawy.

Zastał go nie w redakcji, lecz w mieszkaniu prywatnem, siedzącego przy stole, z głową w dłonie ukrytą. Służący krzątał się po pokoju, od czasu do czasu na swego pana poglądając, który na tem jednem miejscu noc całą przesiedział, na chwilę oka nie zmróżywszy. Stary Marcin kilkakrotnie chciał do niego przemówić i o coś go prosić, nie miał jednak odwagi i wszystko kończyło się u niego na dość głośnem chrząkaniu, którego siedzący nie słyszał.

— Panie Gozdawo! — przemówił redaktor *Teraźniejszości* tuż przy nim stając — przychodzę do ciebie z rószczką pokoju, bo uważam cię tylko za zbłąkanego.

Drgnął i głowę podnosząc spojrzał na mówiącego. Przez tę noc jednę tak się zmienił, że nie był do siebie podobny. Oczy głęboko mu się zapadły, czoło się pomarszczyło, skóra na twarzy pożółkła jak pergamin. Otworzył usta i głosem bez dźwięku odparł:

— A! pan Wyżyński!...

— Tak jest, to ja, i chociaż nieproszony, przyszedłem tu do pana, żeby cię ratować, póki czas jeszcze,

— Bardzo ci panie dziękuję...

— Pan jesteś młody, niedoświadczony, łatwo więc być może, że to, coś wczoraj powiedział, a za co miasto całe jest na ciebie w najwyższym stopniu oburzone, wyrwało ci się tylko przypadkiem, mimowolnie, i że już dziś tego żałujesz... Jeżeli więc usłuchasz mnie panie Gozdawo i uczynisz co ci poradzę, ja sam stanę w twojej obronie.

Podczas tego przemówienia, Ryszard z bezwładności wracał do życia; nawet nieznaczny rumieniec na twarzy mu się pojawił.

— Cóż pan więc żądasz, bym uczynił? — zapytał.

Odwołaj dziś wszystko w swojej gazecie!

— Jak to, jażbym miał występywać przeciw sobie samemu?

— Nie bierz pan tylko tych rzeczy zbyt tragicznie! Wszak bez najmniejszego skrupułu możesz dziś napisać i wydrukować, że wczoraj źle cię zrozumiano, że to, co ci podsuwają, z ust twoich nigdy nie wyszło, słowem, żeś ani myślał przemawiać za potrzebą porozumiewania się z jakąś marą słowiańską, która żąda, byśmy się naszej przeszłości zaparli... Możesz pan to napisać w ogólnikach, papier cierpliwy, a jeżeli mi dasz słowo, że to uczynisz, ja sam umieszczę w *Teraźniejszości* z wczorajszego zgromadzenia tak oględne sprawozdanie, że jednem słowem ciebie nie dotknę... Mimo, żeś pan moim przeciwnikiem, mimo, że twoje współzawodnictwo grozi mi zupełną ruiną, i mimo, że moja redakcja jest przeciw tobie, ja wbrew opinji całego miasta chcę cię jeszcze ratować, w kraju bowiem tak mało mamy zdolnych ludzi, że zaiste strata by to była niepowetowana, gdyby jeden z jego szermierzy pod naciskiem opinji musiał z widowni ustąpić. Jak więc widzisz panie Gozdawo, nie mój interes mnie tu sprowadził, lecz interes naszej wspólnej ojczyzny! Odwołaj, a w kraju nikt nie będzie wiedział co się stało, miasto zaś, jak o wszystkiem, tak i o tem do dni kilku mówić przestanie.

— Dziękuję ci panie za twoje serce dobre i szlachetne! — Ryszard odpowiedział. — Wszakże z rady twojej nie będę korzystał, nigdy bowiem nie splamiłem się kłamstwem i nie splamię!

— Ależ panie Gozdawo! ja cię zaklinam jak ojciec, jak przyjaciel, nie rzucaj opinji rękawicy, bo zginiesz! Ja sam będę musiał przeciw tobie wystąpić, gdyż dla dobra kraju nie wolno mi być słabym. Kiedy tyle pokoleń wyrosło w przekonaniu, że jedynie od Zachodu płynie ku nam światło, i że z tamtąd może nam błysnąć gwiazda szczęścia, kiedy wszyscy nasi poeci i pisarze głośno to wypowiedzieli, a męczennicy nasi krwią swoją stwierdzili, wtedy pan jeden, jakby urągając całemu krajowi i tym męczennikom, przemawiasz jakby w duchu programu Wielopolskiego, który już oddawna został potępiony!

— Prawdę pan powiedziałeś, że został potępiony, wszakże ja ośmielę się nadmienić, że jak

dotąd, nikt się jeszcze nad nim nie zastanawiał spokojnie... A czyż przed gołosłownem potępieniem, nie powinno było wpierw nastąpić zastanowienie się i rozumne roztrząsanie tego programu? Ale my Polacy żyjąc jeszcze ciągle uczuciem, wydajemy prędko wyroki, i napróżno żądać od nas rozumu!... Niech rozumem żyją inne narody i będą wielkie, my wolimy karmić się wiecznie uczuciem pięknem, bo poetycznem i ginąć!...

Ryszard przerwał, aby powietrza zachwycić, którego mu w piersiach brakowało, poczem dodał:

— Zechciej mi panie dobrodzieju powiedzieć, ale tak szczerze, bez ogródki, co też uważasz za największe dla nas nieszczęście?

— Żeśmy rozdzieleni...

— I jam panie tego zdania... W rozbiciu dzisiejszem wyrabiamy się w każdej prowincji w sposób odrębny i nie zawsze zgodny z charakterem naszym słowiańskim, a prócz tego jako rozbici, mając w dodatku trzech przeciw sobie, jesteśmy ciągle słabi. Powiedz mi pan teraz, czy połączenie nasze, pod jakimkolwiek berłem, nie uważałbyś za prawdziwe dla nas szczęście?

— Nie przeczę temu...

— A odkąd przekonaliśmy się aż nadto boleśnie, że przez powstania celu tego nie osiągniemy, czyż nie powinniśmy sobie życzyć, by któryś z monarchów złączył nas i życiem własnem żyć nam pozwolił?

— A wszak to dążność całej naszej polityki! — pan Wyżyński żywo zawołał. — Odkąd przekonaliśmy się, że Francja i Anglja nic dla nas nie uczynią, a myśmy sami za słabi, postanowiliśmy zwrócić się do Austrji, aby ona pokierowała naszemi losami.

— A czemu właśnie do Austrji? — Ryszard podchwycił.

— Czemu? Bo Austrja dała nam wolność i nasze narodowe uczucia szanuje.

— Tak jest, dała nam wolność włoskich lazaronów, jak jeden z moich znajomych trafnie zauważył, którym nikt nie broni na słońcu się wygrzewać i z głodu umierać. Co do mnie, panie dobrodzieju, Bóg tak już moją głowę uorganizował, że wpierw rzecz każdą usiłuję zbadać, a dopiero potem sąd o niej wydaję. Ja się też do Austrji nie zapalam, bo pamiętam jej stuletnie rządy w Galicji, jeżeli zaś w ostatnich latach, bita na wszystkie strony, dla własnego bezpieczeństwa zaczęła się do nas umizgać, to czyż za to mamy jej być wdzięczni, i nasze losy łączyć z jej losami?

— Wdzięczni być nie potrzebujemy — odrzekł pan Wyżyński — ale powinniśmy zrozumieć nasz własny interes. Przyznaję, że Austrja z konieczności dała nam autonomję, lecz i to prawdopodobne, że teraz także z konieczności będzie musiała dla nas jeszcze coś więcej uczynić... We Wiedniu dowiedziałem się z bardzo poważnego źródła, że po ukończeniu kampanji na Wschodzie, Austrja zajmie Bośnię i Hercogowinę, aby wbiwszy się klinem między państwa słowiańskie, stać na straży Wschodu. Że wskutek tego między nią a Rosją przyjdzie kiedyś do starcia, o tem chwili nie można wątpić, Rosja bowiem nie dopuści, aby ktoś bez niej, nawet wbrew jej interesom, wchodnie sprawy urządzał. Austrja przestawszy być państwem niemieckiem, przeistacza się teraz w czysto wschodnie, i dla tego naszą przyszłość możemy z nią śmiało łączyć!

Ryszard uśmiechnął się nieznacznie i tak odpowiedział:

— Nie zaprzeczysz chyba panie dobrodzieju, że rolnik, który co lat kilka burzy u siebie płodozmian i nowy zaprowadza, gospodarzy najgorzej, i prędzej lub później zbankrutuje. Czem płodozmian u rolnika, ten u państw program polityczny, i jeżeli rolnik, żyjący lat kilkadziesiąt, musi na lat kilkanaście płodozmian układać, to u państw, które żyją lat setki, nawet tysiące, na jak też długo powinne być ustawiane programy polityczne? Jabym sądził, że co najmniej na kilka wieków, inaczej bowiem powstała by w państwie bezcelowość, która jest śmierci zwiastunem. Spojrzyjmy teraz na Austrję. Przed laty jeszcze 20 miała politykę niemiecką i włoską, potem przez lat kilka nie miała żadnej, naraz w r. 1870 zaczęła znowu marzyć o niemieckiej, i dla tego to wówczas chciała Francji pomagać, żeby Prusy upokorzyć, a dziś ma politykę wschodnią. Powiedz mi teraz panie dobrodzieju, czy nie prawdę powiedział sam kanclerz austryjacki, hr. Andrassy, że Austrja prowadzi politykę tylko *von Fall zu Fall*, od przypadku do przypadku? A czy państwo tak postępujące ma przyszłość jakąkolwiek? Rosja, naprzykład, od niepamiętnych czasów starała się pozyskać Słowian południowych, Austrja zaś myśli, że tego w jednym dniu dokona... Czyż to nie zabawne! Zresztą, czyż stronnictwo żydowsko-niemieckie, które ster państwa w swoim

ręku dzierży, zdolne jest do polityki energicznej? Wszak ono Austrję nad kraj przepaści zawiodło!

— Co do ostatniego punktu — pan Wyżyński przerwał — zupełnie z panem się zgadzam... Niemcy-centraliści w rzeczy samej niezmiernie Austrji zaszkodzili, ale ponieważ sam monarcha to widzi, więc nie wątpimy, że przyjdzie teraz kolej na innych, między którymi i my ważną rolę odegramy. Przy pomocy Polaków, Austrja najpierw siebie wzmocni, potem nam pomoże.

Ryszard roześmiał się na głos cały.

— Daruj mi pan — rzekł — że nie umiałem powstrzymać wybuchu wesołości, ale w tej chwili przyszło mi na myśl zabawne porównanie. Wyobraźmy sobie, ze pan X. doktor medycyny zachorował, a pan Y. zwyczajny śmiertelnik, także jest chory. Pan Y. zamiast wezwać innego lekarza, mówi: „Wpierw pomogę doktorowi X. żeby się wyleczył, a gdy on wyzdrowieje, wtedy niewątpliwie i mnie wyleczy“. A co będzie, jeżeli przedtem obadwa umrą? Czyż nie taką samą politykę chce Galicja prowadzić?

— Sądzę, panie Gozdawo, że żarty nie są tu na miejscu! — zawołał pan Wyżyński głosem lekko drżącym. — Wolno panu w nic nie wierzyć, my jednak mamy nasze ideały, których się nie zaprzemy. W ich obronie od stu lat walczymy i pod ich sztandarami do końca wytrwamy!

— Jeszcze jedno słowo panie dobrodzieju! Ponieważ nie radbym, by sprawa, o której zaczęliśmy mówić, w zawieszeniu została, więc dojdźmy do końca. Pan, a z panem większość Galicji utrzymuje, że Austrja zbawi Polskę. Czy sama? Wątpię by coś podobnego można przypuścić, państwa bowiem jak ona, stare i ociężałe, na czyny tak wielkie same się nie odważają. Takiego dzieła mogła by zatem dokonać jedynie przy pomocy Prus, które jako państwo graniczne, prędzej lub później musi zetknąć się z Rosją, przedstawicielką świata słowiańskiego. Przypuśćmy teraz, że w sojuszu z niemcami, Austrja pobiłaby Rosję, cóżby wtedy nastąpiło? Oto najprawdopodobniej, po pierwszem walnem zwycięztwie, wyrzucono by Rosję ze Wschodu, jak niegdyś Prusy wyrzuciły Austrję z Niemiec, a Prusy ze swej strony zmusiłyby ją jeszcze, żeby dla ich handlu i przemysłu swoje granice otworzyła.

— Mylisz się pan! Taka wojna nie mogłaby się jak bądź skończyć, bo przecie my byśmy w niej czynny udział wzięli.

— Tem gorzej więc dla nas... W razie wojny, my byśmy jej koszta zapłacili pieniądzmi i krwią naszą. Przypuśćmy jednak, że tak by się nie stało, jakem powiedział, i że zwycięzcy odebrali by Rosji dawne nasze prowincje. Wtedy Prusy nie pozwoliły by znowu Austrji zanadto się rozszerzyć, i aby równowaga przez to nie ucierpiała, zabrałyby naszą ziemię przynajmniej po lewy brzeg Wisły. A coby się z Polakami pod panowaniem pruskiem stało, na to niech panu odpowie Ks. Poznańskie! Pojedź pan tam i zobacz, czy nie lepszy ucisk chwilowy, który prędzej lub później musi ustać, niż pruski liberalizm, wypierający nas wprawdzie grzecznie, lecz za to tem pewniej, z najdawniejszych posiadłości naszych ojców! Oto jakie widoki ma wasza polityka!

— A ja wierzę — pan Wyżyński zawołał — że jeżeli w danej chwili wszyscy jak jeden mąż powstaniemy, Austrja sama będzie nas mogła zabrać. W ostateczności odda Prusom swoje prowincje niemieckie, a z naszej ziemi nie da im ani jednej piędzi.

— Dobrze, panie... Przypuśćmy tę nawet możliwość, z wszystkich najnieprawdopodobniejszą; przypuśćmy, że dynastja Habsburgów uczyniła by w dziejach rzecz niesłychaną, i dla obcej Warszawy, wyrzekłaby się Wiednia rodzinnego; przypuśćmy, że jak kokosz zgromadziła by nas pod swemi skrzydłami. Zawsze czyniąc to, czyniła by za zezwoleniem Niemiec, za co następnie musiała by się z niemi związać takiemi traktatami handlowemi, które by nas im na łup wydały. Oto punkt, na który politycy nasi ciągle jeszcze uwagi nie zwracają, mimo że jest niezmiernie ważny. Wszelkie łączenie się czy to z Austrją, czy z Niemcami, pociąga za sobą naszą ruinę materjalną, za którą nieodwołalnie idzie zawsze ubóstwo moralne. Z rasą germańską, która cywilizacyjnie wyżej od nas stoi, my współzawodnictwa nie wytrzymamy, bośmy go do dziś dnia nie wytrzymali, gdy przeciwnie w świecie słowiańskim możemy stanąć nawet na czele! A więc nie uczucia nam potrzeba, nie frazesów patrjotycznych, ale rozumu!

— Ja zaś dziękuję panu za taki rozum, który zrywa z najpiękniejszemi naszemi tradycjami, z tą polityką, która światu głosiła zawsze wolność, a ludom braterstwo. Polska bądź taką będzie, jaką ją nasi wieszcze opiewali, bądź z grobu wcale nie wstanie.

— A ja panu mówię — Ryszard z zapałem zawołał — że epoka marzycielska właśnie teraz mija, i w masach zaczyna się już budzić rozum polityczny! Wychowani w atmosferze uczuciowej, wy panowie nie pojmujecie, że dla naszego narodu potrzeba polityki realnej, zimnej, nieubłaganej! Nasłuchawszy się haseł wolnomyślnych, nie wiecie, że lepiej dziś znosić niewolę i dla przyszłości narodu pracować, niż w wolności błyskotliwej własnemi rękoma grób mu kopać! Nie umiejąc czekać, żądacie, by natychmiast stało się wszystko po waszej myśli, bo wam się zdaje, że dla narodów pracuje się tylko dziś!... Inaczej jednak zapatruje się na nasze położenie duch całego społeczeństwa... W jego łonie budzi się już nowe życie, przejawiają się nowe prądy, rodzą się nowe kierunki. Ja może zginę, lecz wierzę, że ćwierć wieku nie minie, a cały naród jak jeden mąż zawoła: Największe niebezpieczeńtwo grozi nam od świata germańskiego!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

HISTORJA PARYŻANKI

najnowsza powieść Oktawjusza Feuillet.

(Ciąg dalszy).

XIV.

W kilka miesięcy później — około połowy października, tego samego 1877 roku — odszukujemy państwa Maurecamps, zamieszkujących w najlepszej harmonji małżeńskiej, prześliczny zamek w majątku bardzo rozległym *La Vénerie*, położonym pomiędzy Creil i Compiègne, a nabytym przed półtora rokiem. — Pan de Maurecamps, był zapalonym myśliwym, w *La Vénerie* były doskonałe polowania i to go skłoniło do kupienia tego majątku, aby nie wynajmować gruntów do polowania, co roku gdzie indziej. — Zaprosił na otwarcie sezonu, znaczną liczbę znajomych, między innymi panów de Monthélin, d'Hermany, de la Jardye i pięknego Savilla, względem których to gości, pani de Maurecamps pełniła obowiązki gospodyni domu, z wielkim gustem, wdziękiem, a nawet wesołością. Znajdowano ogólnie, iż tej wesołości było trochę za wiele, i że skoro, winnie czy niewinnie, stała się przyczyną śmierci człowieka, powinna była uczuć, a przynajmniej udawać pewną melancholję. — Ależ serce kobiet będzie zawsze tajemnicą niezbadaną.

Po pojedynku, który skończył się tak tragicznie dla pana de Lerne, żaden argument, żadna prośba nie potrafiły skłonić Joanny, aby została w domu i tam czekała na powrót męża; tegoż samego wieczora, schroniła się do swojej matki, zabierając syna bez ceremonji.

Pani Latour-Mesnil, miała zadanie drażliwe, omówić z zięciem punkta i warunki wzajemnej ugody, co do życia na przyszłość, o ile możności zastosowanego do zaszłych wypadków; nie znalazła wcale oporu pod tym względem, którego się wielce obawiała; zięć był widocznie rad temu, iż nie potrzebuje narażać się bezpośrednio na spotkanie z żoną, czując, iż dla błahych pozorów, posunął się może za daleko, tak względem żony, jak i względem pana de Lerne. Nikomu nie robi przyjemności zabicie człowieka, a jakkolwiek pan de Maurecamps, nie był wcale sentymentalnym, doświadczał jednak pewnych wyrzutów sumienia, które skłoniły go do wszelkich ustępstw, na rzecz pani Latour-Mesnil. Ułożono więc, iż pani de Maurecamps zatrzyma syna, i uda się z matką najprzód do Vevey w Szwajcarji, gdzie całe lato spędzą. W tym przeciągu czasu, urazy uspokoją się i ułagodzą wzajemnie, tem łatwiej, iż, jak utrzymywała pani Latour-Mesnil, przyczyną tej całej nieszczęśliwej awantury, był jedynie szereg fatalnych nieporozumień.

Pojedynek ów, zajmował Paryż przez cały tydzień wyłącznie. Końcowa katastrofa, wywoływała nawet zwrot opinji, bardzo korzystny dla reputacji pani de Maurecamps; rażąca nierówność, między tragicznem sprawy rozwiązaniem, a lekkiemi nierozważnościami, które można było jedynie zarzucić postępowaniu pana de Lerne i Joanny, uderzyła umysły i potwarz rozbroiła. Znajdowano ogólnie, iż pan de Maurecamps, pokazał się dzikim i nieubłaganym w obec człowieka, którego jedynem wykroczeniem, zdawało się być w rzeczywistości... czytywanie pani de Maurecamps. Te zdania i ten sposób widzenia rzeczy, uspakajały podrażnioną próżność pana de Maurecamps, a pochlebiając jego dumie, ułatwiły zbliżenie się wzajemne i porozumienie między małżonkami.

Pani de Maurecamps zdawała się zrazu zupełnie przeciwną podobnemu zbliżeniu. Po dwóch, czy trzech miesiącach jednak, spędzonych w rodzaju osłupienia rozpaczliwego, zdawała się budzić nagle i pewnego dnia, w skutek jakiegoś namysłu tajemniczego, oświadczyła matce, iż pójdzie za jej radą i wróci do męża; żąda tylko jeszcze kilku miesięcy zwłoki:

— Trzeba przecież — dodała z gorzkim uśmiechem — zostawić mu czas, aby sobie z krwi ręce osuszył.

Od chwili tej decyzji humor jej zmienił się widocznie, nabierała gustu do życia i przyszłość zdawała się zajmować ją dość żywo, kiedy potrafiła powrócić do dawnej czynności i dawnej swobody.

Złączyła się zatem z mężem w Paryżu przy końcu września i weszła pod jego dach tak obojętnie, jakby wracała z podróży kilkudniowej. Prawdę mówiąc, pan de Maurecamps, był stokroć więcej zaambarasowany. Zresztą nie byli nigdy przyzwyczajeni do wzajemnego uczuć wylewania; pozornie więc nic się między nimi nie zmieniło; ona dotknęła dwoma palcami z lekkim

cieniem uśmiechu dłoni, którą jej podawał, a zdrowie ich syna, jego dobre wyglądanie, wzrost szybki, dostarczyły następnie wątku do rozmowy. W kilka dni później przenieśli się do zamku w La Vénerie, gdzie liczne grono znajomych miało im oszczędzić niedogodności sam na sam przedłużonego.

Łatwo się domyśleć, iż z razu pani de Maurecamps, była tak dla dawniejszych znajomych jak i dla nowych wiejskich sąsiadów, przedmiotem nader ciekawym; nie można było wstrzymać się od śledzenia z uwagą natężoną, gry fizjonomji i całej postawy młodej kobiety, której imię wplątane było tak niedawno w awanturę wysoce dramatyczną, nacechowaną pewną tajemniczością i która tyle miała rozgłosu. Ciekawi zostali wielce złapani; zachowanie Joanny było spokojne i naturalne, chybaby przypuścić u niej dar niezgłębiony udawania, (co prawdę mówiąc, nie jest nigdy zbyt śmiałem twierdzeniem u płci pięknej) — inaczej możnaby było przysiądz, iż pocieszyła się najzupełniej i zapomniała o wszelkich zgryzotach i nieprzyjemnościach, któremi tak niedawno była obarczoną. Znajdowano nawet, jakeśmy to już wyżej powiedzieli, iż nosiła z zanadto wielką swobodą żałobę po człowieku, który bądź jak bądź dla niej zginął i był co najmniej jej przyjacielem.

— To wcale niezachęcające! — mówił dnia pewnego piękny Saville pani d'Hermany. — Gdyby ten biedny de Lerne mógł wrócić na chwilę z tamtego świata, zdziwił by się djabelnie.

— I dla czegoż miałby się dziwić?

— Dla tego, słowo honoru! że to coś oburzającego! — odrzekł piękny Saville, który nie będąc sokołem, miał jednak dobre serce, — możnaby powiedzieć, iż przez śmierć tego biednego chłopca, pozbyła się kłopotu niepotrzebnego! Nigdy jej nie widziałem tak ożywionej, tak rozweselonej, z taką werwą dowcipkującej! Wartoż to się dla pań dać zabijać?!

— Ależ nikt mój drogi! nie dybie na twoje nędzne życie.. uspokój się proszę... a co do mojej przyjaciółki, Joanny, jest to osobistość, której nie można sądzić z pozorów... Nie wiem, co tam się dzieje w jej pięknej główce... ale jest coś w jej płonącej źrenicy, co by mi się wcale nie podobało, gdybym była jej mężem.

— Ja bo nic nie widzę w jej źrenicy! — Saville odrzucił.

— Wierzę bardzo! — parsknęła mu w nos śmiechem pani d'Hermany.

Ten humor wesoły u jego żony, którym wszyscy byli zgorszeni, podobał się właśnie baronowi de Maurecamps, i cieszył go nadzwyczajnie.

— Kobieta okiełzana! — mówił ręce zacierając — Pochodziłem ją przecie, okiełzałem! Ho! ho! to mój system... opanowywać w ten sposób kobiety! Od kiedy moja dostała nauczkę... trochę surową co prawda! — odzyskała rozum zdrowy i praktyczny... i jest stokroć teraz milszą i szczęśliwszą... Doskonale się stało... doskonale, doskonale!

W samej rzeczy, w upodobaniach i zwyczajach Joanny, nastąpiła zmiana bardzo dziwna i zasługująca, aby się nad nią głębiej zastanowić; zamiast przywiązywać się wyłącznie jak niegdyś do rozkoszy duchowych i umysłowych, nabrała gustu do przyjemności i ćwiczeń czysto fizycznych. Nie brała książki do ręki, fortepian stał wiecznie zamknięty, jej najdroższy pamiętnik na klucz zamykany, nie odbierał więcej słodkich zwierzeń, ani wyciągów z poetów ulubionych; straciła ów pociąg szlachetny do wzruszeń i uniesień duchowych, które ją odznaczały, a przyswoiła sobie natomiast nieznośną i brutalną manję paryską wyszydzania wszystkiego i wszystkich. Jazda konna, polowanie, bilard, taniec, były teraz jej jedynemi namiętnościami. Pędziła na koniu, podczas polowań z chartami w Compiégne; na piechotę, ze strzelbą przez ramię przewieszoną, towarzyszyła strzelcom, gdy szli na ptaki do własnych lasów pana de Maurecamps, a mimo tego wieczór wystrojona balowo, walcowała do upadłego. Mężczyźni nigdy jej wprzódy nie znajdowali tak czarującą i trzeba dodać, iż nigdy jej nie posądzali o tak wyrafinowaną zalotność; istotnie została kokietką pierwszorzędną, nawet do tej wady tak ponętnej, a tak nowej dla niej, dodawała pewną niezgrabność debiutantki, która niema jeszcze poczucia równowagi. Żywość jej ruchów i słów nieoględność, przechodziły częstokroć miarę i pomijały ów odcień delikatny, dzielący towarzystwo na przyzwoite i nieprzyzwoite. I ta jednak przesada podobała się panu de Maurecamps, bawił się nią i śmiał się z niej wraz z przyjaciółmi:

— Wyszła z powijaków — żartował — zaczyna nowe życie... Jest trochę przesady w tonie... Wygląda tak, jak młode mężatki, które nazajutrz po ślubie plotą głupstwa... ale to przejdzie.

Po jakimś czasie jednak, zaczął sam uważać, iż jego żona zanadto się lubuje w towarzystwie mężczyzn. Mniejsza o to, że łączy się z nimi na przechadzce, na polowaniu, w sali bilardowej, ale co go już trochę uderzyło, to, że poszła za nimi aż do wozowni, gdzie panowie zbierali się co rana, aby się ćwiczyć w fechtowaniu. Owa wozownia, była to właściwie sala obszerna i wypróżniona, wyłożona marmurem w mozajkę, dobrze oświetlona, dobrze ogrzana, nadawała się więc wybornie do tego rodzaju sportu. Ławki skórą obite, na około poustawiane, służyły widzom do siedzenia. Pierwszy raz, gdy pan de Maurecamps i jego goście spostrzegli wśród kłębów dymu gęstego z ich cygar, Joannę siedzącą na jednej z tych ławek, nietylko zdziwili się niesłychanie, ale nawet doświadczyli pewnej ckliwości. Weszła cichutko, niepostrzeżenie, usiadła w milczeniu i patrzyła na zapaśników bijących się na floresty. Nikt nie mógł pojąć, dla czego osoba, którą uważano dotąd za czułą i delikatną, przychodzi napawać oczy widokiem szermierki, co powinno by wywoływać w jej duszy wspomnienie złowrogie. Musieli się jednak oswoić z jej obecnością, gdyż od dnia tego nie opuściła żadnego i towarzyszyła panom wiernie do wozowni. Dziwna

młoda kobieta, śledziła z uwagą namiętną grę zapaśników, cokolwiek naprzód podana, z czołem zmarszczonem, z źrenicą szeroko rozwartą, zdawała się cała zatopiona w rachowaniu pchnięć i rypost walczących. Ale szczególniej, gdy mąż wchodził na scenę, zamiłowanie jej w tym kierunku do szczytu sięgało. Tak była zapatrzona, iż prawie nie oddychała. Ta nadzwyczajna uwaga żenowała nawet pana de Maurecamps.

W krótkim czasie, dzięki pilności niesłychanej, Joanna nabyła pewnej wprawy w szermierce; umiała dobrze osądzić siłę uderzeń i zręczność względną zapaśników. Tym sposobem przekonała się, iż tak jak jej mówiono, pan de Maurecamps był jednym z najdzielniejszych szermierzy, bił się zręcznie, wytrwale i z siłą niezwyczajną; dotąd pomiędzy jego gośćmi był jeden tylko, który mu jakotako placu dotrzymywał, a tym był pan de Monthélin. Dwa czy trzy razy nawet miał pewną przewagę nad swoim partnerem, gdy się bili na florety, co spowodowało panią de Maurecamps do wypowiedzenia kilku uwag pochlebnych i obdarzenia pana de Monthélin mnóstwem słodkich słówek.

XV.

Pan de Monthélin — czyż potrzeba o tem i wspominać? — pozbywszy się współzawodnictwa pana de Lerne, zajął znowu pocichutku przy pani de Maurecamps swoje dawne stanowisko adoratora i pocieszyciela. W tym czasie zdawał się być na serjo zachęcanym i żywił nadzieje, które nie były bez podstawy, gdy wydarzenie niespodziewane pomięszało mu szyki na nowo.

Oprócz gości stałych i wiejskich sąsiadów, pan de Maurecamps zapraszał niekiedy na polowania kilku oficerów z załogi w Compiégne, których bądź znał w Paryżu, bądź też spotykał na *par force* polowaniach w Compiégne. Pomiędzy tymi oficerami, którzy byli ogólnie ludźmi najlepszego towarzystwa, znajdował się jeden, stanowiący wyjątek; z pewnem też zdziwieniem patrzano na jego w zamku wizyty. Był nim młody kapitan od strzelców, nazwiskiem de Sontis, dobrze urodzony, ale najgorzej wychowany, wyuzdany bezczelnie i obyczajów brutalnych. Jego fizyczność bynajmniej nie wynagradzała braków co do dystynkcji salonowej i moralnej. Małego wzrostu, brzydki, sinej bladości, miał na głowie włos rzadki i rudawy, oczy siwe, głęboko osadzone, patrzące ostro i nieprzyjemnie, a usta wąskie, bez koloru, wiecznie uśmiechem cynicznym wykrzywione. Był to jednak *sportsmen* niezrównany, dosiadał najdzikszych tabunów, wygrywał kursa, pierwszy był do polowania i w ogóle we wszystkiem, co się sportu tyczyło, był nie tylko sędzią najbardziej kompetentnym, ale i wykonawcą znakomitym. Temi to przymiotami niezrównanemi zjednał sobie pana de Maurecamps, którego fiksacją było obecnie ujeżdżanie koni i stawanie w szrankach podczas wyścigów; nie przestawał naradzać się w tych ważnych kwestjach z kapitanem de Sontis i nie mógł się nachwalić jego rad zbawiennych w tym kierunku.

Pani de Maurecamps natomiast, uczuła na pierwszy rzut oka, do tego młodego człowieka, brzydkiego i w złym tonie, antypatję, z którą nie kryła się bynajmniej. Z wielkim tedy niesmakiem, zobaczyła pierwszych dni listopada, pana de Sontis, zainstalowanego na cały miesiąc w zamku, gdzie dotychczas, najwięcej, jeżeli zjadł śniadanie, lub obiad po polowaniu.

Pierwszego zaraz ranka, który spędził w zamku, zaproszono grzecznie pana de Sontis, aby, jeżeli ma ochotę po temu, towarzyszył do wozowni panu de Maurecamps i kilku jeszcze z jego gości i spróbował się z nimi na florety. Pan de Sontis odpowiedział, iż bardzo chętnie przetrze sobie trochę rękę, gdyż bardzo dawno nie bił się z nikim. Przez chwilę ćwiczył się sam, wreszcie przyjął próbkę maleńką z gospodarzem domu i pan de Maurecamps, miał nie lada niespodziankę, znalazłszy w tej wątłej figurce, przeciwnika, z którym na serjo rachować się trzeba było. Ten mały, lichy człowiek, miał bystrość oka, zwinność i elastyczność tygrysa. Odurzony zrazu, gwałtownem nacieraniem pana de Maurecamps, otrząsł się prędko z pierwszego wrażenia, i gdy po krótkim odpoczynku starli się powtórnie, wziął już widoczną nad tamtym przewagę. Pan de Maurecamps podrażniony, rzekł z uśmiechem wymuszonym, iż spodziewa się rewanżu nazajutrz.

— Dobrze! — odpowiedział de Sontis — jestem zawsze gotów służyć panu, ale zapowiadam, że poznałem już pańskie finty i mam pana w ręku, więcej mnie pan ani tkniesz, chyba że sam tego zechcę.

— Zobaczymy! — mruknął przez zęby pan de Maurecamps, tonem nader suchym.

Joanna, jak zwyczajnie, była przytomną dnia tego, podczas starcia obu panów. Wyszła z wozowni poważna i zamyślona, jak już jej nie widziano, odkąd zaczęła drugi okres życia swojego; cały dzień była głęboko zadumana.

Nazajutrz nie omieszkała stawić się na godzinę oznaczoną.

Pan de Maurecamps stoczył z kapitanem de Sontis walkę, której scena wczorajsza dodawała uroku niezwykłego. Ciekawość ogółu, była mocno podrażnioną, ale u pani de Maurecamps zdawała się najwyższego stopnia dosięgać; jej rysy kurczowo drgające, wzrok wytężony i ścigający bezprzestannie gry przejścia i zmiany rozmaite, malowały takie zainteresowanie, a raczej taki niepokój, iż towarzyszące tymże objawom okoliczności, zupełnie ich nie usprawiedliwiały.

To spotkanie zresztą było klęską okropną dla pana de Maurecamps. Młody kapitan, chociaż niedorównywający wzrostem i siłą muszkularną swojemu przeciwnikowi, posiadał jednak pod wątłą powłoką nerwy ze stali. Miał on oddawna ustaloną reputację doskonałego fechmistrza i wkrótce zdał sobie sprawę ze wszystkich słabości i błędów w grze, zresztą bardzo imponującej pana de Maurecamps. Poznał on główną tegoż wadę,

zwyczajną u ludzi nadzwyczaj silnych a krwistych, oto popęd, do liczenia zbytniego na swoją dzielność i do nadużywania częstokroć bez celu tejże siły olbrzymiej. Obdarzony nawzajem ręką niesłychanie zwinną i wprawną i również pewny swojej niezrównanej bystrości oka, pan de Sontis nie przedstawiał przeciwnikowi żadnej słabej strony, mięszał go i olśniewał fintami, korzystając z każdej luki, którym zawsze podpadają szermierze unoszący się łatwo, a wtedy uderzał z szybkością piorunującą. Pan de Maurecamps miał przed sobą szpadę niewidzialną i niedotykalną, której istność odczuwał dopiero, gdy się jego piersi dotknęła. Słowem, dostał ze sześć pchnięć w piersi floretem, a nawzajem nie dotknął pana de Sontis ani razu.

Próżność, nadzwyczaj drażliwa pana de Maurecamps, nie pozwoliła mu przyznać się, do tak stanowczej niższości. Utrzymywał tylko, iż nie był dnia tego dobrze usposobionym. Próbował dni następnych, lecz wszystkie próby równie się nie powiodły, a jeżeli udało mu się dwa, czy trzy razy, dotknąć końcem floretu pana de Sontis, wszyscy widzieli doskonale, iż tenże li przez grzeczność na to pozwolił. Wreszcie znudzony i zniechęcony, pan de Maurecamps, pod rozmaitemi pozorami, zaprzestał uczęszczać na godziny szermierki do wozowni.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ORDYNAT.

PRZEKŁAD Z NIEMIECKIEGO

przez Helenę Wilczyńską.

(Ciąg dalszy.)

Jak wyżej powiedzieliśmy, szyderstwem Edmunda ciężko zraniona, Jadwiga w milczeniu ku drzwiom się zwróciła. Przed progiem, uczuła się wstrzymaną i otoczoną ramionami Edmunda.

— Obraziłem się może? — spytał słodko. — Łaj mnie Jadwiniu, wyrzucaj mi najostrzej moją niegrzeczność, niedelikatność, tylko z tym niemym gniewem nie odchodź odemnie! Tego nie zniosę!

Przyznanie się do winy, było tak szczere, a tak serdeczne, że Jadzia zmiękła od razu i ze łzami główkę na ramieniu narzeczonego opierając, łagodnie przemówiła:

— Myślę, iż sam siebie ranisz, tem wiecznem szyderstwem! Nie uwierzysz jak ono nieraz brzmi gorzko, i jak do głębi serca przenika!

— Prawda, wielka prawda! — Edmund próbował uśmiechu, który jednak wypadł nader łzawo — byłem nieznośny, prawie brutalny ostatniemi czasy; za to po ślubie będę tem milszym i czulszym. Wtedy odrzucimy precz od siebie ten cały kram niepotrzebny czczych rozrywek i uciech światowych, i szczęśliwi, samotni, zamkniemy się w naszym domu. Teraz tylko nie mogę znieść samotności, ale wierzaj mi Jadziu, tęsknię szczerze do chwili błogosławionej, która nas na wieki połączy.

— Czy istotnie czekasz na nią z utęsknieniem? — Jadzia badawczo w oczy mu spojrzała. — Czasami zdaje mi się, jakbyś się dnia tego obawiał?

— Obawiał? nie Jadziu, przecież my się kochamy! — Edmund szybko odrzucił, tak się jednak silnie zarumienił, jakby raczej Jadzi przypuszczenie prawdą było. — Wszak twoją miłość mnie samemu oddałaś, nie ordynatowi, nie hrabiemu Ettersberg? Miałaś tylu pretendentów, którzy te same tytuły i przymioty posiadali, a jednak tyś mnie wybrała?

— Na miły Bóg! — Jak możesz nawet przypuszczać coś podobnego! — zawołała Jadwiga z żalem i przestrachem jednocześnie. — Jak możesz posądzać mnie o myśli podobne!

— Ja też cię nie posądzam najdroższa! — Edmund z głębi piersi odetchnął. — I dla tego trzymam silną dłonią, co do mnie wyłącznie należy, choćbym z całym światem miał o ten skarb walkę stoczyć! W twoją miłość wolno mi wierzyć, ona przynajmniej nie jest kłamstwem, nie jest obłudą! Gdybym i tu się oszukał, gdyby mnie i twoje serce zawiodło, wtedy... wtedy... skończyłbym... im prędzej, tem lepiej!

— Edmundzie! Niewypowiedzianie mnie przerażasz twojem dzikiem usposobieniem! — Jadwiga z załamanemi rękoma o krok się cofnęła przed tym namiętnym wybuchem. — Tyś chory, musisz cierpieć i bardzo! żeby się w ten sposób wyrażać!

Słowa rozpaczliwe narzeczonej, przywiodły Edmunda do opamiętania. Usiłował pokryć gwałtowne wzburzenie, potrafił nawet uśmiechnąć się na prawdę tym razem.

— Chwała Bogu! — zażartował jak dawniej swobodnie — ty znowu przychodzisz z tą samą wymówką, którą przed chwilą od mamy usłyszałem: „że stałem się dziwnie nerwowym i do zbytku drażliwym.“ — Więcej nic też niema, wierzaj mi i nie trwoż się tem Jadwiniu. To minie... czyż wszystko w życiu nie mija i nie przechodzi!... Ale teraz muszę zobaczyć, czy Eberhardt pomyślał o moich gościach. Nie udzieliłem mu co do tego specjalnych instrukcji. Daruj, że muszę cię na chwilę opuścić; wrócę najdalej za dziesięć minut.

Jeszcze raz objął narzeczonę i czule w czoło pocałował, potem szybko za drzwi wybiegł. Wyglądało to na formalną ucieczkę przed wszelką eksplikacją; matka i syn byli oboje nieprzystępni i niezbadani co do tej nieszczęsnej zagadki.

Jadwiga przeszła wolnym krokiem przez salon i na dawnem miejscu usiadła. Wsparłszy główkę na dłoni, w głęboką zadumę się pogrążyła. Edmund coś przed nią starannie ukrywał; że kocha ją jak dawniej, a nawet o wiele namiętniej, niż wówczas, gdy matka narzeczonę na drugi plan spychała, o tem, wiedziona własnem poczuciem, wiedziała doskonale, nie potrzebując bynajmniej hrabiny potwierdzenia. A jednak cofała się przerażona przed jego wybuchami płomiennemi, ale dzikiemi, w które teraz wpadał tak często. Jakaż różnica była między niemi, a owemi wesołemi igraszkami, figiel-

kami, śmieszkami, któremi ją bawił niegdyś! Cóż to znowu znaczyły słowa ostatnie: „że gdyby jej miłość go zawiodła, zrobiłby koniec, im prędzej, tem lepiej.“ — Jak? z czem?... Jedno było więcej zagadkowe, niż drugie!...

Jadwiga wiedziona instynktem kobiecym, wiedziała, że gdyby się była rzuciła na szyję narzeczonemu, z całem wylaniem prawdziwej miłości, nie oparł by się jej prośbie — tego jednak zrobić nie mogła!... bo kłamać nie umiała. Wstrzymywało ją poczucie własnej winy, nie śmiała użyć broni miłości, która tak słabo tliła w jej sercu. Broniła się mężnie przeciw marzeniom niebezpiecznym, o owym wzgórku pod lasem, o rozmowie ostatniej w altanie; starała się spłoszyć ów cień, który takim kirem smutku przysłonił jej życie, dotąd jasne i wesołe. Daremna praca! Obraz coraz wyraźniej w sercu się rysował, chociaż wzór tegoż od niej daleko, bardzo daleko... choć może go nigdy więcej w życiu nie zobaczy...

O Oswaldzie słych zaginął. Hrabina nigdy o nim nie wspominała, a gdy raz pan Rüstow spytał o swego ulubieńca, odpowiedziała sucho i krótko: „że o ile wie, dobrze się Oswaldowi powodzi, stosunki jednak między nim a Ettersberg'em są zupełnie przerwane, i do nikogo z krewnych nie pisuje.“ Rozmowa o bratanku była jej widocznie niemiłą, więcej też tej kwestji nie poruszano. O tem nikt nie wątpił, że hrabina bratanka męża nienawidziła, z dawien dawna wojnę zaciętą z nim prowadząc; dla czego jednak Edmund, który tak zdawał się do brata przywiązany, tak się obawiał chwili rozstania, dziś ani wspomni o najlepszym przyjacielu, nawet, również jak hrabinie, niemiłą mu jest każda wzmianka o dawnym, nierozłącznym towarzyszu? To już należało do rzędu owych nierozwiązalnych zagadek i głębokich tajemnic, od których formalnie duszno się robiło w Ettersberg. Prawdopodobnie coś i między nimi zajść musiało przed samym odjazdem Oswalda, co ostateczne zerwanie spowodowało.

Zmęczona smutnem rozmyślaniem, a po trochę i rozmarzona, Jadwiga wsparłszy główkę na dłoni, z przymkniętą powieką, utonęła w zadumie tak głębokiej, że zrazu nie usłyszała drzwi skrzypnięcia i kroków ku niej zmierzających. Gdy już ten ktoś zrównał się prawie z jej fotelem, otworzyła leniwo powieki i zwróciła się ku wchodzącemu w tem przekonaniu, że Edmund powraca.

Nagle, jakby najsilniejszym prądem elektrycznym w górę podrzucona, zerwała się na równe nogi, twarz, czoło i szyja oblały się szkarłatem, a szeroko rozwarte źrenice, zapałały ogniem gorączkowym. Był że to strach, czy radość, co tak ją poruszyły, przytomności nieledwie pozbawiając? Sama nie wiedziała, nie umiała zdać sobie rachunku, z tego zamętu w głowie i w sercu, a jednak imię, które bezwiednie na usta jej wybiegło, i ton, w jakim je wypowiedziała, zdradziły serca tajemnicę:

— Oswaldzie?!

Był to Oswald istotnie, który stał przed nią. Chociaż jadąc do Ettersberg, przygotowywał się przez całą drogę na możliwe spotkanie z narzeczoną Edmunda, i on na to zjawisko stanął cały w płomieniach; w pierwszej chwili gotów był zawrócić, uciec przed tą słodką pokusą, usłyszawszy jednak imię swoje w ten sposób wymówione, przestał się wahać, skoczył i porwał rękę Jadwigi, namiętnemi pocałunkami dłoń jej okrywając:

— Czym cię przestraszył Jadwiniu?

Pytanie było całkiem do wytłumaczenia, gdyż Jadwiga drżała dotąd jak liść osiki i nie mogła się uspokoić.

— Oswald... panie Ettersberg! — poprawiła się okropnie zmięszana — przybywasz pan tak nagle, tak niespodziewanie!

— Nie mogłem uprzedzać o mojem przybyciu. Idzie tu o interes ważny, nie cierpiący zwłoki, o którym muszę pomówić osobiście z Edmundem.

Nie wiedział dobrze co mówił. Słowa wychodziły mu z ust machinalnie, a oczy z nietajonym zachwytem wpatrywały się w postać ukochaną. Walka szczera, uczciwa, którą serca ich staczały z uczuciem wzrastającem, okazała się nadaremną. Jedno spojrzenie wystarczyło, aby zniszczyć pracę i usiłowania trzechmiesięczne, aby przekonać oboje, że rozłączenie nie zawsze idzie w parze z zapomnieniem.

Jadwiga ruszyła się chcąc odejść.

— Ja... ja... pójdę uprzedzić Edmunda... — wyjąkała z trudnością.

— O mojem przybyciu już go uwiadomiono. Nie uciekaj odemnie Jadwiniu, daruj mi chodź tę jedną minutkę!

Została. Bolesna skarga, z tych słów wiejąca, przykuła ją na miejscu, lecz odpowiedzieć nic nie śmiała.

— Nie przybyłem z własnej woli, ani we własnym interesie — mówił Oswald dalej. — Odjeżdżam jutro i nie mogłem wiedzieć, że właśnie przebywasz w Ettersberg. Gdybym to był przeczuł, byłbym chętnie oszczędził nam obojgu... tego spotkania.

Nam obojgu! Bolesna rezygnacja brzmiała w tych słowach, a jednak w oczach Oswalda jaśniał promień szczęścia. Pomięszanie Jadwigi, imię jego, w chwili uniesienia głosem wzruszonym wymówione, odkryły mu tajemnicę wzajemnej miłości, a chociaż ta pewność, o której dotąd nawet marzyć nie śmiał, nic mu pomódz nie mogła, choć nie wolno mu było, wiązać z nią cienia jakiejkolwiek nadziei, czuł się z nią szczęśliwym nad wszelkie wyrazy i nie był by oddał tego przekonania za skarby całego świata! Przy ostatniem pożegnaniu tak walecznie stłumił w głębi piersi rozpierające ją uczucie, a dziś to nagłe zjawienie się przed nim Jadwigi, ten jej okrzyk serdeczny na jego widok, tylko co ust mu nie rozwiązały. Iskra na dnie serca tlejąca, groziła, że lada chwila wybuchnie jasnym płomieniem... czytała to Jadwiga w jego wzroku, którym ją z takim zachwytem obrzucał i pierwsza wróciła do opamiętania:

— Więc pozwól pan przynajmniej skrócić to spo-

tkanie — odezwała się cicho, lecz nie mniej stanowczo, ku drzwiom się zwracając; Oswald jednak drogę jej zastąpił:

— I w ten sposób chcesz odejść odemnie? Czyż mi nie będzie wolno nawet słowa jednego z tobą zamienić?!

— Lękam się, czyśmy i tak już sobie za wiele nie powiedzieli. Pozwól mi odejść panie Ettersberg, proszę o to usilnie!

Oswald usłuchał. Odstąpił o krok, aby ją przepuścić. Miała słuszność zupełną. Na szczęście, że przynajmniej ona umiała nad sobą zapanować, skoro on się tak słabym okazał. Patrzał na nią w milczeniu, z wyrazem ponurej rozpaczy, nie próbował jednak dłużej jej zatrzymywać.

Ta rezygnacja i niema boleść wzruszyły do głębi Jadwigę. Już brała za klamkę, gdy jeszcze raz uczuła ten łzawy wzrok na niej spoczywający. I z jej ócz łzy wytrysnęły, rzuciła się nazad łkając ku Oswaldowi.

Przycisnął ją do serca, ustami drgającemi dotknął się jej czoła i szepnął:

— Dzięki ci siostro za te łzy. Pamięć tychże do grobu poniosę.

Blada, spłakana, stała nad Oswaldem, przed nią pochylonym. Teraz jej znowu sił do odejścia zabrakło.

Drzwi skrzypnęły, a z przeciwnej strony wszedł Edmund.

Jak ptaszyna spłoszona, frunęła Jadwiga i znikła za portjerą, od drzwi przeciwległych; Oswald zaś wyprostował się, podniósł śmiało czoło, w przeświadczeniu o swojej niewinności w tej sprawie i oczekiwał spokojnie wyrzutów Edmunda, aby na nie z całą otwartością odpowiedzieć i przypadkowe spotkanie z Jadwigą wytłumaczyć.

Edmund jednak zdawał się sam tak zmięszany i tak przybyciem kuzyna zaniepokojony, że jakby wcale zniknięcia Jadwigi nie zauważył, zbliżył się z pewnem wahaniem do Oswalda, a zamiast jak niegdyś bywało, powitać go serdecznym uściskiem, zaledwie dotknął się nader zimno jego dłoni i rzekł z widoczną niechęcią:

— Co za niespodzianka Oswaldzie! Ani przeczuwałem, abyś nas raczył tak prędko w Ettersberg odwidzieć!

Cedził słowa pomału, jakby się przymuszał do każdego wyrazu.

— Czyś nie rad mojemu przybyciu? — spytał Oswald uderzony tym tonem lodowatym.

— Ależ przeciwnie! — Edmund żywo zaprotestował. — Dla czegoś mnię jednak o tem nieuprzedził listownie?

— Raczej jabym miał prawo zadać ci to pytanie. Na mój pierwszy list odpisałeś zaledwie kilka wierszy, drugi zaś pozostał dotąd bez odpowiedzi. Nie umiałem sobie wytłumaczyć twojego milczenia, jak i obecnego przyjęcia nie rozumiem. Czyś chory? Czy tutaj co zaszło?

Młody hrabia zaśmiał się głośno. Był to znowu ów śmiech dziki, szyderski, którym tak często ostatniemi czasy ranił serca najbliższych.

— Co ci też przyszło do głowy! Widzisz przecie, że nic mi nie... brakuje, tylko czasu do pisania nie miałem.

— Czasu nie miałeś! — Oswald potrząsł głową boleśnie dotknięty. — A ja przecie znalazłem chwilę wolną dla ciebie, chociaż dzień i noc w tych ostatnich miesiącach pracowałem. I teraz nie przybyłem z wizytą, lecz jedynie w twoim interesie, aby cię od wielkiej straty uchronić. Czyś odebrał od twojego rządcy pełnomocnictwo?

— Jakie pełnomocnictwo? — spytał Edmund z roztargnieniem, unikając starannie wzroku kuzyna.

— To, które mu udzielił jeszcze baron Heideck w twojem imieniu, a które dawało mu moc nieograniczoną, rozporządzania całym Ettersberg'em. Czy doprawdy ma je dotąd w ręku?

— Prawdopodobnie... ja od niego żadnych papierów nie odbierałem.

Oswald zmarszczył czoło:

— Jakże mogłeś postąpić tak nierozważnie i zaufać w ten sposób człowiekowi już odprawionemu. Zdaje się, iż nadużył niegodziwie twojej nieuwagi. A może doszło to twojej wiadomości, że trzecia część obszaru leśnego w Ettersberg, ma być w tych dniach sprzedana i wycięta?

— Tak... ma być las wycięty? — szepnął Edmund jakby nieprzytomny. — Wiadomość ta zresztą nie zdawała się robić na nim najmniejszego wrażenia.

— Namyśl że się przecie! — nalegał Oswald. — Jeżeli nic o tem nie wiesz, jeżeli umowa zawarta bez twojego przyzwolenia, oszustwo jasne jak słońce! Cała suma nie stanowiąca ani połowy wartości — ma być z góry wypłaconą i z nią zapewne chce się pan rządca szczęśliwie ulotnić. Przypadkiem dowiedziałem się o tem w kancelarji pana Brauna, którego kupiec radził się, jak ma kontrakt ułożyć. Wybrałem się natychmiast, aby ratować ciebie i Ettersberg od szkody nieobliczonej.

Edmund silił się zrozumieć o co właściwie idzie.

— To bardzo grzecznie z twojej strony... po to więc przyjechałeś?... no! możemy o tem pomówić... tylko trochę później...

Oswalda zdziwienie rosło z każdą chwilą. Nie tylko uderzała go zupełna obojętność w sprawie tak wielkiej wagi, więcej jeszcze niepokoił go wzrok Edmunda, szklisty, błędny, w jedno miejsce utkwiony, jakby myślami gonił Bóg wie którędy.

— Edmundzie, opamiętaj się, czyś ty nie słyszał o czem ja mówiłem? Sprawa to nader ważna i nie cierpiąca zwłoki. Musisz natychmiast odebrać pełnomocnictwo, ogłosić w gazetach tegoż zniszczenie i zagrozić oszustowi kryminałem. Inaczej będziesz musiał kupno uznać, które twoje lasy zniszczy do reszty, a ordynacją tak uszczupli, że istnieć nie będzie mogła nadal.

— Ordynację podkopie? — powtórzył Edmund machinalnie, jakby z całej rozmowy to jedno słowo go uderzyło. — Zapewne! Ordynacja powinna zostać nietkniętą. Weź ty się do tego interesu Oswaldzie! I tak masz w ręku całą intrygę.

— Jakto? Ja mam się rządzić w twoich dobrach, kiedy ty jesteś w domu? Przyjechałem, aby cię przestrzedz i odkryć ci grożące niebezpieczeństwo. Reszta do ciebie należy. Na to jesteś przecie panem na Ettersberg'u!

Rysy młodego hrabiego drgnęły kurczowo, jakby ból gwałtowny ścisnął go za serce. Wzrok utkwił w posadzkę, i milczał uporczywie.

— Cóż postanowiłeś Edmundzie? — spytał znowu po chwili Oswald. — Czy każesz przywołać rządcę?

— Jak sądzisz...

— Ależ rozumie się! Trzeba to natychmiast uskutecznić.

Edmund przystąpił do stolika, aby zadzwonić, gdy wtem wstrzymał go Oswald, kładąc mu z lekka dłoń na ramieniu.

— Edmundzie! — rzekł cicho. — Co ty masz przeciwko mnie?

— Przeciw tobie? Nic, nic z pewnością! Musisz wybaczyć Oswaldzie... jestem dziwnie roztargniony... zdenerwowany... tyle mam na głowie! Same nieprzyjemności! Ze służbą, z urzędnikami... Ot! masz zaraz próbkę ze rządcą! Któżby się był spodziewał po nim takiego łotrowstwa?

— Nie, nie, to coś zupełnie innego! — Oswald odparł z naciskiem. — Twoja niechęć mnie dotyczy jedynie. Pożegnaliśmy się tak serdecznie, a tak dziwnie witasz mnię teraz! Zaklinam cię, powiedz, co się to wcisnęło pomiędzy nas?

— Nie dręcz że mnię jakiemiś przypuszczeniami i podejrzeniami! — wybuchnął Edmund gwałtownie. — Mam że ci zdawać rachunek z każdego słowa, z każdego giestu niemal!

Oswald cofnął się więcej zaniepokojony niż obrażony tym wybuchem, którego nic nie usprawiedliwiało i do którego najmniejszego nie dał powodu. W tej chwili usłyszeli turkot kilku powozów przed ganek zajeżdżających i psy na dziedzińcu naszczekujące. Edmund odetchnął z głębi piersi, jak gdyby się pozbył olbrzymiego ciężaru.

— Ah! moi goście! Daruj Oswaldzie, że cię samego zostawię. Przybyli panowie, z którymi mam jutro zapolować. Wszak i ty się do nas przyłączysz?

— Nie! — odrzekł Oswald zimno. — Nie przyjechałem aby bawić się i nie mam czasu do tego. Jutro przed południem odjeżdżam.

— Tak rychło? To mnie martwi! Ale musisz wiedzieć najlepiej, na ile ci czasu wystarczy. Wydam rozkazy tyczące się twojego ulokowania.

Stał już na progu, z ręką na klamce.

— I jeszcze jedno Oswaldzie! Weź ty rządcę na konfesatę, błagam cię o to! Nie mam do spraw podobnych ani zręczności, ani cierpliwości... Wszystko z góry przyjmuję, tak jak ty zarządzisz. Do zobaczenia!

W ostatnich słowach był nerwowy pospiech, wcale nie licujący z apatją, którą podczas rozmowy okazywał. Uciekł, jakby mu się paliło pod stopami, a Oswald stał dotąd osłupiały na środku pokoju, niepewny, czy się gniewać, czyli raczej smucić podobnem postępowaniem.

Co to było? Oswald jedynym tylko sposobem mógł to sobie wytłumaczyć. Edmund wszedł jednocześnie z Jadwigą wychodzącą. Czy nie podsłuchał ich krótkiej, ale tak wiele znaczącej rozmowy? Chociaż ani jednego słowa nie wymówili, któreby zdradzać mogło jakiegokolwiek między nimi porozumienia, wystarczyło to jednak, aby pokazać, w jakim są stosunku, ażeby rozniecić w sercu narzeczonego płomień zazdrości. Z tąd owa obojętność na straty materjalne i to gorączkowe rozdrażnienie. Tak być musiało, a nie inaczej.

— Jeżeli co i podsłuchał — pomyślał Oswald — toć dowiedział się jednocześnie, żeśmy zupełnie niewinni temu spotkaniu i zobaczył w jaki sposób rozeszliśmy się oboje. Postępowałem i postępuję uczciwie, mogę więc śmiało w oczy mu spojrzeć i z czynów moich zdać każdej chwili rachunek.

Przed gankiem słychać było głośną rozmowę, w której Edmund prym trzymał, witając swoich gości z hałaśliwą i nienaturalną wesołością. Młodych tych ludzi znał Oswald po większej części, nie miał jednak najmniejszej chęci witać ich i dać się zasypać przez nich pytaniami, opuścił więc salon czemprędzej, aby się z nimi nie spotkać na schodach i do swojego pokoju pospieszył.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DZIENNICZEK ZE ŚWIATA.

SPRYTNY AJENT.

Jeden z posłów, przebywających w Londynie, otrzymał polecenie wyszukania pewnej młodej osoby, na którą spadł milionowy spadek...

Sprawę oddano policji angielskiej, z tym warunkiem, aby nie dano niczem poznać, w jakim celu młoda dziewczyna jest poszukiwaną.

Po sześciu tygodniach zjawia się młody i przystojny ajent policyjny z raportem, iż dziewczynę odnaleziono.

— Pan ją wyszukałeś?

— Tak jest, od sześciu tygodni.

— Tak dawno? czemu nie miałem dotąd wiadomości? gdzie owa pani przebywa?

— U mnie w domu.

— Jakto? Nie rozumiem...

— Ożeniłem się z nią, panie dyrektorze, przed trzema tygodniami...

ANGIELSKA GALANTERJA.

W bazarze urządzonym na cel dobroczynny, damy najwyższego świata sprzedają ciasta, cukierki, kwiaty, a nawet poncz, kawę i herbatę.

Przy jednym z takich bufetów, młoda i piękna księżna X. pełni obowiązki, które w Olimpie sprawowała Hebe.

Wysoki, chudy, ale bardzo bogaty anglik, zbliża się i pyta o cenę filiżanki herbaty...

— Pięć luidorów — odpowiada Hebe z miłym uśmiechem.

— Oto jest dziesięć luidorów — powiada anglik, kładąc pieniądze i wyciągając rękę po filiżankę.

— Ach, milordzie, taka hojność zasługuje na nagrodę! — odzywa się księżna X. i dotyka ustami filiżanki..

— To dobrze — mówi dalej zimny anglik — oto jeszcze pięć luidorów, ale proszę mi dać czystą filiżankę...

CIEKAWY KONGRES.

W Pradze czeskiej odbywa posiedzenia oryginalny kongres międzynarodowy, złożony... z głuchoniemych.

W sali cisza, choć podobno dyskusje są bardzo ożywione.

Głuchoniemi obradują nad udoskonaleniem... swego języka.

SPADKOBIERCA ŻEBRAKA.

Kapitalista F. w Berlinie, jak zapewnia *Nord-deutsche Allgemeine Zeitung*, bardzo bogaty człowiek, spotykał przez wiele lat w ogrodzie zoologicznym prawie codzień żebraka i dawał mu zawsze małą jałmużnę.

Następnie jałmużnę tę podwyższył mu na dziennie 25 fenigów; sędziwy żebrak odbierał ją sobie zawsze w godzinach południowych.

Równocześnie otrzymywał on u pana F. obiad.

Nagle przed kilku miesiącami znikł starowina...

Przed niedawnem dopiero otrzymuje F. od sądu zawiadomienie, iż żebrak zmarł i jego, swego długoletniego dobroczyńcę, ustanowił jedynym spadkobiercą swego majątku, w sumie 31.000 marek!

Niechaj czytelnik wyobrazi sobie zdumienie spadkobiercy!

KOBIETA O KOBIETACH.

Pytano sią lady Montague, czy nie wolałaby być mężczyzną...

Odrzekła:

— Nie, cieszę się bardzo, że jestem kobietą, kiedy pomyślę, iż nie grozi mi niebezpieczeństwo poślubienia żony.

PRZED SĄDEM.

Przed hanowerskim sądem polubownym rozegrała się w tych dniach zabawna scena.

Wieśniak zaskarżył drugiego o obrazę.

Przewodniczący zachęcał skarżącego do zgody, a gdy ten nie chciał na to przystać, wezwał go do opowiedzenia sprawy.

— Panie sędzio — mówi skarżący — że on mi ciągle dokuczał, że mi robił na przekór, wszystko to przebaczam mu, ale jednego, to już zawiele...

Mała pauza, w czasie której sędzia i słuchacze z wytężoną ciekawością słuchają.

— I cóż on zrobił takiego? — nalega sędzia.

— Nazwał mnie „prusakiem“ i niech pan sędzia sam osądzi, czy mogę mu to przebaczyć?

Powstaje ogólna wesołość, po uspokojeniu której, sędzia oddala pretensje skarżącego, który, opuszczając salę, kiwa głową i pomrukuje:

— „Prusak“, powiedział on, czyż ja jestem prusakiem?...

HERR TILLE.

Przed kilkoma tygodniami dokończył pracowitego żywota sławny berliński złodziej, pan Tille.

Zmarły był bezwarunkowo jednym z najzuchwalszych i najzręczniejszych operatorów, który nigdy się nie wahał, szedł naprzód, a schwytany bronił się do ostatka.

Podczas jednej takiej utarczki pan Tille postradał ozdobę swego oblicza — nos!

Stracić nos dla zwykłego śmiertelnika, jestto rzecz wysoce przykra, ale dla p. Tillego był to wielki los wygrany na loterji, odtąd bowiem mógł się mniej obawiać złapania.

Po zagojeniu się rany, Tille obstalował sobie nos sztuczny, prawdziwy cud przemysłu, który zakładał ilekroć wybierał się na łowy; lecz niech tylko spostrzegł, że go zauważano, niech tylko rozległ się pierwszy okrzyk: złodziej! Tille rzucał się w tłum, chował nos do kieszeni wraz z okularami i był już bezpieczny.

Umierając Tille prosił, aby mu włożono ów nos z okularami do trumny, nie można było jednak zadośćuczynić życzeniu tego sprawiedliwego, nos bowiem figurował równocześnie w sądzie jako dowód rzeczowy...

TURNIEJ TANCERZY.

Trzeba się urodzić pod niebem Ameryki, żeby powziąć podobną myśl...

Dowiadujemy się, że w Nowym-Jorku przygotowuje się turniej tancerzy i to wyłącznie... walca!

Rozesłano już prospekty do wszystkich stolic i większych miast Europy.

Wyznaczone są trzy nagrody.

Dziesięś tysięcy franków dla najlepszego tancerza walca na trzy *pas*, pięć tysięcy dla najznakomitszego wajsera na dwa *pas* i nakoniec nagroda honorowa złożona z wielkiego palisandrowego fortepianu i 2,000 fr., która dostanie się tancerzowi, który walcować będzie aż do zmęczenia największej liczby tancerek, jednej po drugiej...

ROZMOWA WIERZYCIELA ZE SŁUŻĄCĄ.

— Jest pan w domu?
— Wyszedł.
— A pani?
— Także wyszła.
— Może syn jest?
— I ten wyszedł.
— Przyszedłem po pieniądze...
— O te! u nas dawno już wyszły.

PO AMERYKAŃSKU.

Jak daleko amerykanie zaszli na drodze reklamy, przekona następujący fakt:

Pewien fabrykant mydła, John Smit, kazał wymalować w kilku miejscach, gdzie kolej oceanu Spokojnego przecina olbrzymie skały kredowe, sążniowemi literami!

„Kupujcie mydło tylko u Johna Smit.“

Drugi mydlarz, imieniem Karol Brown, przeczytawszy tę reklamę, umieścił obok tych wyrazów w dalszym ciągu:

„Jeżeli nie możecie go dostać u Karola Brown...“

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: W. Maniecki.